

# Refleksje dnia dzisiejszego

11 września 2011

Cześć ich pamięci! 11 września 2001 r. 100 000 ludzi – więcej niż łączna liczba ludności Monako, San Marino i Andorry – umarło z głodu. Tak jak każdego innego dnia, bez względu na to, czy za oknem świeci słońce i jaka jest prognoza pogody w telewizji – i jak każdego dnia całkowicie czy prawie całkowicie milczały o tym media „wolnego świata”, czyli szamani wartości dodatkowej względnej i bezwzględnej oraz ucisku narodowego (polityka zagraniczna jest zawsze tylko przedłużeniem polityki wewnętrznej) i płciowego (setki milionów gospodyń domowych codziennie wytwarzają wartość dodatkową piorąc, gotując, prasując, lecz poza rewolucyjną Wenezuelą trudno znaleźć na świecie kraj konstytucyjnie gwarantujący im za to wynagrodzenie).

Niesprawiedliwość, ucisk i zniewolenie, wszystko to i wiele więcej nie znaczy nic czy niemal nic dla zarządzających interesami tych, w imię których zostają wybrani w „wolnych, demokratycznych, bezpośrednich, równych” wyborach. Czy raczej znaczy bardzo wiele, ale tylko w jednym sensie: utrzymania niekontrolowanej przez nieomal żadne mechanizmy demokratyczne władzy międzynarodowych korporacji i wszędobylskiego kapitału spekulacyjnego, w imię której utrzymuje się monstrualne nowożytnie niewolnictwo, pod wieloma względami gorsze od dziewiętnastowiecznego.

Zamachy na Światowe Centrum Handlu nie były zamachami na wolny handel, tak jak zamachy na Pentagon nie były zamachami na rozpasane zbrojenia. Osama ben Laden zdobył swoistą „nomadyczną” władzę, będącą zarazem małym odbiciem równie „nomadycznej” władzy międzynarodowego kapitału. Postępuje zatarcie granicy między fikcją a rzeczywistością, także w dziedzinie i tak „od zawsze” wątpliwej jawności centrów władzy. Po Rewolucji Październikowej, której słuszość choćby jako rewolucji wymierzonej w wojnę imperialistyczną powinna

być oczywista dla każdego, kto pragnie zmienić świat, Rosja jako pierwsze państwo świata wprowadziła zakaz tajnych traktatów (co zostało zaprzepaszczone wskutek termidora stalinowskiego – jednym ze skutków był pakt Ribbentrop-Mołotow). Dziś, gdy PKB osiągany przez największe korporacje bywa większy niż PKB Polski, lepiej niż kiedykolwiek widać, że taki krok pozostawałby niewystarczający bez całkowitego zniesienia tajemnicy handlowej – z tajnych traktatów można dzięki niej zrezygnować jak dama z towarzystwa rezygnuje ze staromodnego zakietu. Imperializm, by trwać, zmienia swe oblicze, wynajduje coraz nowe fortele i triki. Ci, którzy niczym dziewiętnastowieczni dżentelmeni w cylindrach kupują i sprzedają całe państwa – może i kontynenty – najgłośniej mówią o wolności.

Mają rzecz jasną rację. Zapominają jedynie dodać, że mówią o ich wolności. Jak zauważył Karol Marks, „Nikt nie zwalcza wolności, zwalcza co najwyżej wolność innych.” Jeśli rzeczywiście, jak chcą liberałowie, istnieją wrogowie wolności „samej w sobie”, to tylko tacy, którzy nieumyślnie dokonują – np. ekologicznego – samobójstwa. Herosi „globalnej wojny z terroryzmem” nie będą zatem zwalczać własnej wolności handlu i wolności podboju czy podporządkowania. W drugą stronę: wzorowy protekcjonizm, dopłaty dla rolnictwa, a w przypadku najsilniejszych – tarcza antyrakietowa.

Władza tzw. triady, tj. mocarstw imperialistycznych: USA i Izraela, Unii Europejskiej, Japonii i reszty „azjatyckich tygrysów”, dopełniona przez ich przydupasów od republik bananowych Polinezji po reakcyjną, rojalistyczną i fundamentalistyczną Arabię Saudyjską, Libię Kadafiego i Egipt Mubaraka (a także choćby „demokratyczną” opozycję wenezuelską), chwieje się. Miotająca się zraniona bestia staje się podwójnie niebezpieczna – stąd wojny w Iraku, Afganistanie, Palestynie, Czeczenii, Somalii, pogróżki pod adresem Iranu, Wenezueli czy Kuby. Zdaje się, że hasło Che Guevary Stworzyć dwa, trzy... wiele Wietnamów zamieniło się w

przepowiednię.

Jednak zachwiana władza pozostaje nadal globalną władzą totalitarną: poziom kontroli wzrasta wraz z rozwojem techniki. Odzwierciedla to gehenna Palestyńczyków. Stając do walki, która pozostaje nierówna już choćby dlatego, że brak im – nie licząc ich kompradorskiej burżuazji – ogromnej części zdobyczy technologicznych współczesności, zarazem niemal na co dzień stykają się z najwymyślniejszymi nowinkami technologicznymi, jakie Izrael wykorzystuje przeciwko nim: elektroniczne czujniki, zwiadowcze samoloty bezzałogowe, najnowocześniejsza, produkcji własnej czy amerykańskiej broń, której skutki działania nieraz zaskakują i przerażają palestyńskich lekarzy. Całe zespoły uczonych sług „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie” pracują dzień i noc nad opracowaniem kolejnych pomysłów, mających zwiększyć kontrolę nad żalosnymi gettami i bantustanami, rozsypanymi niczym mak na regularnie aktualizowanej mapie komputerowej o dużej rozdzielczości. W swoim czasie ukazała się informacja o pracy nad latającym przyrządem wielkości bodaj szerszenia, mogącym bez trudu dostać się do mieszkania przebrzydłego hamasowca i owego hamasowca „ukąsić” – jak w dobrej powieści science-fiction o władzy, która dzięki dominacji technologicznej staje się nieomal doskonała! „Sumienia współczesności” pokroju złotoustego Leszka Kołakowskiego nie mają do powiedzenia absolutnie nic o syjonistycznym Matrixie: totalitarnym charakterze izraelskiego panowania nad Palestyńczykami, jak też nic o Matrixie globalnym, fundowanym reszcie świata przez USA. Nie napiszą nic o gułagu Gaza ani o gułagu Guantanamo, gdyż, excusez le mot, gównem wiedzą o tym, czym jest totalitaryzm i czym jest wolność.

Pisze się tylko takie antyutopie, jakie pozostają w smak klasom panującym – a jeśli nawet jest inaczej, tylko takie się wydaje.

Proces zniewalania z pomocą nowej i najnowszej techniki nie jest rzecz jasna procesem całkowicie stałym, czego dowodzi

ograniczony wzrost wolności słowa po upowszechnieniu się internetu w centrach systemu globalnego oraz – w znacznie mniejszym stopniu – także na jego półperyferiach (dostarczających nade wszystko nisko przetworzonych produktów) i peryferiach (dostarczających po pierwsze taniej czy wręcz praktycznie bezpłatnej siły roboczej). W przypadku tych ostatnich dzieje się tak również w Palestynie, gdzie dostęp do internetu (jak też np. do telefonii komórkowej) przynajmniej do niedawna, w warunkach wojny i brutalnej okupacji, wzrastał w imponującym tempie. Klasy panujące (w każdym razie czoło tak ich awangardy, jak i ariergardy) wiedzą jednak, że nie tylko nie mogą istnieć bez rozwoju techniki – muszą również owym rozwojem techniki zarządzać: samodzielnie, czy w miarę potrzeby za pośrednictwem państw narodowych, a także pozostających na ich pasku organizacji ponadnarodowych. Z ich fundamentalnej potrzeby kontroli nad techniką wynikają pomysły zaprowadzenia ustawodawstwa, mającego pomóc w okiełznaniu nieokiełznanego internetu (ostatnio m.in. w Polsce).

Kto na serio mówi o wyzwoleniu Palestyny, zwycięstwie irackiego i afgańskiego ruchu oporu, wsparciu dla rewolucyjnej Wenezueli i Kuby, umocnieniu i nadaniu bojowego charakteru związkom zawodowym, budowie antykapitalistycznej partii robotniczej, niezbywalnych prawach kobiet oraz osób homoseksualnych, biseksualnych, transseksualnych i aseksualnych, raczej prędzej niż później zetknie się z tego rodzaju problemami. Na globalizację władzy totalitarnej należy odpowiedzieć globalizacją oporu, którego celem nie ma być ustanowienie absurdalnej utopii, opartej na mrzonkach w rodzaju agraryzmu, lecz świat, w którym technika rozwija się pod kontrolą demokratyczną, nie zaś w warunkach globalnej dyktatury burżuazji oraz pozostającej na jej usługach, dlatego też częściowo sprywatyzowanej biurokracji i technokracji. Dotychczasowy rozwój technologiczny, choć mógł już co najmniej kilka pokoleń wstecz zostać wdrożony w lepsze tryby, doprowadził do wcześniej zarysowanych zjawisk, jak też gigantycznej dewastacji środowiska naturalnego w skali całej

planety. Mowa o procesie, który wypuścił dżinna z butelki – zarazem jednak bez najnowszej techniki nie da się owego dżinna z powrotem do niej zapędzić. (Czy można sobie wyobrazić szybsze oczyszczenie często straszliwie zanieczyszczonej wody w rzekach bez udoskonalenia systemów filtracyjnych w oczyszczalniach ścieków?)

Kapitalizm, w którym wiele słyśmy się zdań mądrych filozofów o – broń Boże nie pojmowanym literalnie! – prawie natury, może okazać się jedynym systemem, przy którym natura wyda się „mądra”. Nawet w biurokratycznej autarkii, jaką jest Korea Płn., odsetek gwałtownych śmierci pozostaje niższy niż w „mądrej” naturze. Równocześnie mechanizmy globalnego kapitalizmu potrafią wpisać jako składową systemu „najbardziej barbarzyńskie narody”: choćby tak oporny materiał, jak despotia północnokoreańska, od pewnego czasu przyzwalająca na istnienie nad 38. równoleżnikiem stref wolnego handlu. Jeśli postępy globalnego systemu oraz związane z nim degradacja środowiska naturalnego i wojny nie zostają powstrzymane, powtarzane wielokroć przepowiednie, że planetę zasmrodzą gazy cieplarniane albo spali nuklearna pożoga, mogą zmaterializować się w tu i teraz. Jak pisał Nietzsche, natura jest głupia – nigdy jednak, jeśli pominie się kosmiczne katastrofy, nie wykazała się głupotą o stuprocentowej skuteczności.

Technika jest kijem o dwóch końcach – nic chyba nie ilustruje prawdziwości tej tezy lepiej niż internet. Technologia początkowo wykorzystywana jedynie przez wojsko i służąca imperializmowi światowemu może okazać się przysłowiowym sznurem, na którym wieszka się kapitalistę, który go sprzedał. Gdyby ci, którzy wcześniej sprawowali nad internetem absolutną hegemonię, mogli przewidzieć wszystkie konsekwencje upowszechnienia owego wynalazku, pewnie nigdy by tego nie uczynili. Jednak irracjonalność kapitalizmu często czyni bezrobotnym również Prometeusza.

Chyba rozwiązuje to sprzeczność, która pozwala uczonym sługom klas panujących oskarżać ruch alterglobalistyczny o

hipokryzję, gdy ten kontestuje sposób wykorzystywania zdobyczy najnowszej techniki czy intencje, jakie przyświecały temu czy innemu wynalazcy, a zarazem sam wykorzystuje owe zdobycze. Ów argument oddalić można zresztą znacznie prościej: wystarczy nadmienić, że przypomina stwierdzenie, iż wojny opiumowe były niemoralne, gdyż Anglicy wykorzystywali proch strzelniczy – wszak chiński wynalazek – przeciwko Chińczykom.

W tym momencie należy wrócić do wydarzeń, jakie miały miejsce w USA 11 września 2001 r. Powiedzieć, że był to moment przełomowy, to zarazem powiedzieć, że Kopernik zmniejszył popularność systemu geocentrycznego, i powiedzieć nieprawdę. Niewątpliwie mamy do czynienia z nowym, szczególnie totalitarnym typem władzy – jakościowa zmiana daje się jednak w pełni wyjaśnić częściowo uwiecznionym sukcesem, właściwie jawnym dążeniem supermocarstwa imperialistycznego do globalnej hegemonii. Ataki na World Trade Center i Pentagon pozwoliły jedynie pokazać się w pełnej krasie temu, co dojrzało już wcześniej. Susan Sontag, która widziała w tych tendencjach ultima ratio faszyzmu, wskazywała na to, że zwolennikom owej hegemonii trafiła się niesamowita „gratka”. Oto mają wojnę, która jest „jeszcze lepsza niż zimna wojna”. Kto choć przez chwilę po zamachach 11 września wierzył medialnej propagandzie, ten wykazał się największą możliwą naiwnością.

Marek Siwiec, wówczas szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, mówił przed kamerami, że Polska jest w stanie wojny. Dziś, gdy w tym stanie istotnie jest, w przypadku ataku na polskie koszary ze strony partyzantów irackich czy afgańskich podobni mu utrzymywaliby, że jest to atak bezprawny. Być może odgrzebanoby ze śmietnika historii termin z żargonu urzędasów z Departamentu Stanu: usłyszeliśmy o „nielegalnych wojownikach”. Słowa o terrorystach mielibyśmy jak w banku. Bojownik iracki czy afgański, którego pojmano by po tego rodzaju ataku, traktowany byłby zgodnie z kodeksem karnym, nie z prawem jenieckim. Oficjalnie rzecz jasna, w istocie jak nieczystość.

Wojna z terroryzmem? Puste hasło, woda święcona, którą pije każdy diabeł. Imperializm światowy, dzięki uruchomieniu potężnej maszyny propagandowej, przy której ta, którą uruchomiono w czasie pierwszej wojny światowej wydaje się dziecinną igraszką, rękami geopolitycznych hochsztaplerów i prestidigitatorów zamknął za zasłoną dymną wszystko, co pozostawało mu nie w smak: od haniebnej historii klasycznego kolonializmu i jego skutków w Trzecim Świecie po antagonizmy klasowe w metropoliach kapitalizmu, dziś prowadzących nowe, „chwalebne” wojny na odległych kontynentach.

Gdy mówią „wolność”, należy zapytać, czyja i ku czemu. Wiadomo już, że „wolność dla Iraku” była wszystkim, tylko nie wolnością dla Iraku. W tym kontekście słów Benjamina Netanjahu, byłego premiera Izraela, że zamachy 11 września były „bardzo dobre” dla stosunków amerykańsko-izraelskich, nie sposób odebrać jako li tylko faux pas, nawet jeśli pominąć pojawiające się także w prasie mainstreamowej doniesienia o wiedzy wywiadu izraelskiego na temat przygotowań do tych zamachów, którą wywiad ten nie podzielił się z Amerykanami, i związane z tym podejrzenia pod adresem izraelskiego polityka. Ataki „umocnią więź między obydwojma naszymi narodami, gdyż doświadczaliśmy terroru od dziesięcioleci, a Stany Zjednoczone doświadczają teraz wskutek terroru potężnego krwotoku”, mówił dla The New York Times (12 września 2001 r.). Izraelczycy zostali, podobnie jak Japończycy („honorowi biali” w RPA) i kilka innych narodów, włączeni w krwiobieg białej supremacji, terytorialnie w olbrzymiej mierze pokrywanej się z obszarem centrów globalnego systemu kapitalistycznego. Jest to jedność demokracji liberalnej i dominacji totalnej, o której pisał Zbigniew Marcin Kowalewski w pracy „Afgański konwój śmierci. Zbrodnia imperializmu w świetle doktryny Alexisa de Tocqueville’a”.

W 1917 r. pojawiło się pierwsze w historii państwo proletariatu, Rosja Radziecka. Wbrew skrajnie niesprzyjającym okolicznościom przetrwało i mimo, że uległo biurokratycznej

degeneracji, zdołało przez kilkadziesiąt lat utrzymać się na arenie międzynarodowej, gdy zgodnie ze słowami Nietzschego czas małej polityki minął i nastąpił przymus wielkiej polityki wśród zmagających się o panowanie światowe. Dopiero restauracja kapitalizmu w Rosji doprowadziła do tego, czego nie zdołał uczynić nawet Stalin: zaprzepaszczenia niemal wszystkich osiągnięć Rewolucji Październikowej, przez co pogrążył się w nędzy, rozpacz i przemoc kraj, w którym wcześniej robotnik chodził do teatru czy filharmonii, czego zazdrościły mu setki milionów innych robotników na wszystkich kontynentach.

Polityka zagraniczna ZSRR, mimo deklarowanego niezłomnego antyimperializmu, zazwyczaj cechowała się daleko posuniętym oportunizmem, nieraz zaś popadała w drugą skrajność i stawała się równie agresywna jak polityka czołowych mocarstw imperialistycznych – od czasu sojuszu Stalina z Hitlerem po inwazję na Afganistan. Na śmieszność zakrawa twierdzenie, że panująca po śmierci Lenina warstwa biurokratyczna poważnie traktowała ideę rewolucji światowej. Choćby Palestyńczycy, w latach zimnej wojny w dużej mierze skazani na takiego a nie innego sojusznika, mogą wiele na ten temat powiedzieć. Jeszcze lepiej tendencje te rysują się w zdradzie przez Stalina rewolucjonistów hiszpańskich, opisaney przez różnych autorów od Orwella po Trockiego.

Niemniej jednak istnienia tej potężnej siły, po drugiej wojnie światowej umocnionej przez kraje Europy Środkowej, nie dało się w żaden sposób zignorować – przez kilka dziesięcioleci dotkliwie ograniczała wilcze apetyty centralnych mocarstw świata kapitalistycznego. Wątpliwe, by w tamtych czasach Zbigniew Brzeziński mógł sobie pozwolić na otwartą pochwałę amerykańskiej „globalnej hegemonii, która jest faktem, nie wyborem”. Niewiele, jeśli cokolwiek, zmienia tu to, że postuluje samoograniczenie tej hegemonii przez rozwiązanie sprzeczności między imperializmem amerykańskim a konkurencyjnym imperializmem europejskim – realizacja tego postulatu, choćby była możliwa, prowadziłaby jedynie do



usprawnienia maszyny imperializmu światowego. „Waszyngton jest pierwszą globalną stolicą polityczną w historii świata” – ogłaszał Brzeziński, w dużej mierze zresztą słusznie, kilka lat temu. (Kto widzi w Rewolucji Październikowej tylko zło i przemoc, powinien głęboko zastanowić się nad tymi słowami.)

Tendencje globalizacyjne rysują się od czasów prekolumbijskich. Wielki system naczyń połączonych, rozerwany potem przez imperializm i kolonializm europejski, stworzyły świat arabski, Indie i Chiny, co znakomicie opisali Arrighi, Ahmad i Shih w pracy „Zmierzch zachodnich hegemonii”. Z uwagi jednak choćby na ograniczenia rozwoju technologicznego, które uniemożliwiały szybkie przemieszczanie się i komunikację (powieść W osiemdziesiąt dni dookoła świata opublikowano raptem w 1872 r.!), owe tendencje, nawet niezakłócone z zewnątrz, miałyby dość nikłe szanse szybkiego w skali historycznej dojścia do swego ostatecznego wyrazu. Daleko jeszcze pozostawało do kolei żelaznej, której doniosłość polityczną uznali Marks i Engels w „Manifeście Komunistycznym”. Tym dalej do telegrafu, telefonu, samochodu, samolotu, radia, telewizji, komputera, sztucznych satelitów i internetu, których antytezą są czołgi i cruise missiles.

Ostatecznie rola ostatecznego wyraziciela tendencji globalizacyjnych wśród klasowych, państwowych i towarowych społeczeństw świata przypadła komu innemu. Okazała się rolą pana świata, nie dość wszechwładnego, by w istocie w pełni nim być, lecz dość potężnego, by takim się jawić. Zniknął stary wróg – czy też został oswojony. Heroiczna walka polskiego proletariatu, który w 1980 r. wszczął rewolucję, decydując się wyrwać władzę z rąk biurokracji, nie odniosła skutku w postaci utwierdzenia jego panowania klasowego. Co więcej, 10 lat później biurokracja uwłaszczyła się w praktycznie wszystkich dawnych dyktaturach biurokratycznych, często stając się motorem transformacji w kierunku kapitalizmu mafijnego. Można, trawestując Trockiego, powiedzieć, że mimo głębokich różnic podstaw społecznych poststalinizm i neoliberalizm są

zjawiskami symetrycznymi. Dość, by pod rządami SLD Polska umocniła swój już wcześniej (vide Wałęsa mówiący w Kongresie My, naród) silnie proamerykański kurs i stała się naczelnym lokajem supermocarstwa imperialistycznego w Europie.

Podwórko uprzątnięte. Resztę dopiszcie sobie sami. Poza może jednym...

Śmierć ofiar zamachów na World Trade Center i Pentagon stanowi niewysłowioną ulgę dla wielu, którzy nie chcą, by ktokolwiek usłyszał o ofiarach głodu.

Autor: Paweł Michał Bartolik

Źródło: [Lewica](#)

Tekst ukazał się na nieistniejącej już stronie Viva Palestyna 11 września 2007 r.